

## DNIESTROWE WAKACJE

### Wyprawy Dniestrem do Zaleszczyk i Okopów Św. Trójcy



*Stanisław Strycharski, prawnik, urodzony we Lwowie w 1915 r., zmarł w Bytomiu w 2000 r. Syn Zofii z Mortkowiczów i Ignacego Strycharskiego*

S p ł y n ę l i ś m y Dniestrem łącznie pięć razy, ale z tych wypraw najlepiej pamiętam dwie. Pierwsza miała miejsce latem 1933 roku po naszej maturze. Płynęliśmy łodziami, gdyż kajaków jeszcze nie mieliśmy. Jedna łódź duża, zbudowana chyba przez Józia Szulimowicza, pomieściła pięć osób: Józia Szulimowicza, Szymka Szulimowicza, zwanego „Profesorem” (był nauczycielem we wsi Dubowce), Nuśka Szulimowicza, brata Józia, wówczas jeszcze studenta

medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim, moją siostrę Zosię oraz Zosię Krokowską, uczennicę ze Lwowa, córkę miejscowego notariusza. Druga łódź, stara, porybacka łódka (stałe ciekła), którą kupił nam wujek Zenek [Nowachowicz] mieściła Mieczka Sulimowicza, kapitana tej łodzi, Siunka, brata Mieczka i mnie. Kapitanem dużej łodzi był „Profesor”, Szymek Szulimowicz. Razem siedem osób. Pogoda była fatalna, cały niemal czas lał deszcz, byliśmy stale przemoknięci, woda była dużo cieplejsza niż powietrze. Gotowaliśmy na prymusie, który ostatecznie uległ zniszczeniu, gdyż Zofia Krokowska wynosząc go z łodzi, upadła na kamiennym brzegu i wypuściła prymus z ręki, co spowodowało połamanie się nóżek stanowiących oparcie dla zbiorniczka z paliwem. Tak więc w zasadzie gotowaliśmy tylko przy okazji u chłopów, gdy stawaliśmy na postój. Na skutek fatalnej pogody podróż trwała 4 lub 5 dni. Zaopatrzenie w żywność zabraliśmy z Halicza: pieczony drób, który na trzeci dzień stałego polewania deszczem zepsuł się i go wyrzuciliśmy, dwa garnki kiszonych ogórków (olbrzymie gliniaki), a do tego trochę kradzionej po drodze kukurydzy, której łany leżały po obu stronach Dniestru. Pamiętam, że niemilosiernie wykorzystywaliśmy Siunka Sulimowicza, najmłodszego z rodziny Sulimowiczów, używając go jako tragarza. Wresz-

cie po tym niemilosiernym deszczowym polewaniu wylądowaliśmy w Zaleszczykach, celu naszej wyprawy. Przygodny fotograf zrobił nam zdjęcie – historyczne! Łodzie puściliśmy z nurtem Dniestru, gdyż nikt nie chciał ich kupić. Wróciliśmy do Hali-



*Oto owo historyczne zdjęcie z pierwszej wyprawy, zrobione przez przygodnego fotografa pod mostem w Zaleszczykach. Pierwszy z lewej Józef Szulimowicz, czwarty (nieco z tyłu) autor wspomnień, obok niego Mieczek Sulimowicz, następnie Zofia Strycharska (siostra autora) i Szymek Szulimowicz "Profesor". Ostatni stoi Nusiek Szulimowicz.*

cza oczywiście kolejną, kilkukilometrowym tranzytem przez Rumunię i tam pierwszy raz zobaczyliśmy pracowników kolejowych, np. dróżników, bosych, z koszulami wyciągniętymi na wierzch, ale z chorągiewkami w rękę, natomiast urzędników stacyjnych, naczelników, dyżurnych wypomadowanych i wystrojonych jak w operetce lub na maskaradzie. Pełni wrażeń wróciliśmy do Halicza i mieliśmy co opowiadać, bo przecież była to pionierska wyprawa do Zaleszczyk nurtem Dniestru.

#### Druga wyprawa

Drugą wyprawę pamiętam lepiej. Miała miejsce chyba w roku 1936 i odbyła się już kajakami. Mieczek Sulimowicz zaprosił na wakacje do Halicza arabskiego lektora tegoż języka w Instytucie Wschodnim w Warszawie, gdzie studiował. Arab ten nazywał się Ali Achmed Ben Hadzi Kujder, któ-



*Na moście w Haliczu uczestnicy wyprawy – Algierczyk Achmed, obok Szymek "profesor" Szulimowicz i prawdopodobnie Zosia Krokowska*

rego oczywiście nazywaliśmy Achmedem. Mieszkał w domu rodziców Mieczka przy ul. Kolejowej nr 24 w Haliczu. Był absolwentem szkoły religijnej w Algierze. Traktowany był jak domownik i przez wszystkich bardzo lubiany.

Popłynęliśmy Dniestrem do okopów Św. Trójcy, leżących u ujścia Zbrucza do Dniestru, na granicy trzech państw: Polski, Rumunii i Rosji Sowieckiej. Płynęliśmy

we czwórkę: Janka Szulimowicz [młodsza siostra wspomnianych Nuśka i Józka Szulimowiczów], Achmed, Mieczek i ja. Podczas tej wyprawy miał miejsce szereg humorystycznych incydentów z Achmedem, który m.in. okazał się niezwykle skąpym i nie dawał na wspólne utrzymanie się. Prowiant kupowaliśmy po drodze od okolicznych chłopów lub w wiejskich sklepikach. Gotowaliśmy na kuchenkach spirytusowych. Pamiętam zabawny incydent z Achmedem w Koropcu, dużej wsi nad Dniestrem, własności hrabiów Badenich, których pałac zwiedzaliśmy. Chcieliśmy kupić m.in. nabiał i poszliśmy na rynek – duży jak na wieś, z pięknym kościołem. W rynku mleczarnia prowadzona przez Małopolski Związek Mleczarski, wspaniale i nowocześnie urządzone. W pewnym momencie przy zwiedzaniu tej mleczarni – prowadzeni przez jej kierownika, inżyniera, o ile pamiętam, Chomińskiego – zauważyliśmy brak Achmeda. Poszliśmy go szukać i znaleźliśmy go przy kadzi ze śmietaną, gdy nachylony nad nią... chleptał śmietaną. Odsunęliśmy go od tej kadzi, a ponieważ miał brodę, duże ślady śmietany pozostały na brodzie. Aby uniknąć nieprzyjemności, rękami usunęliśmy resztki śmietany z jego brody. Na szczęście tego incydentu nikt z pracowników mleczarni nie zauważył. Achmed budził sensację, ponieważ miał zawój na głowie, a że w Palestynie stale miały miejsce zamieszki między Arabami a Żydami, to Żydzi w Koropcu czy miasteczkach nad Dniestrem, np. w Uścieczku czy Niżnikowie, odnosili się do niego z rezerwą, ale i zaciekawieniem.

Wreszcie przybiliśmy do brzegów Okopów Św. Trójcy. Po drugiej stronie, na prawym brzegu – a Dniestr już od 18. kilometra od Zaleszczyk stanowił granicę polsko-rumuńską – leżały ruiny zamku w historycznym Chocimiu. Aby Chocim zwiedzić, a była to duża atrakcja, trzeba się było na drugą stronę przepłynąć promem (Dniestr był tam już bardzo szeroki), kupując na prom bilet. A co najważniejsze, w miejscowej placówce KOP (Korpus Ochrony Pogranicza) kupić też przepustkę upoważniającą do przekroczenia granicy. Przepustka kosztowała 60 groszy, a bilet na prom 50 groszy. Były całe ceregiele z Achmedem, który nie chciał zapłacić 1,10 zł, a Chocim chciał koniecznie zwiedzić. Ostatecznie zapłaciliśmy za niego. To samo było z zapłaceniem transportu kajaków z Okopów do stacji Iwanie Puste, gdzie kończyła się linia kolejowa. Transport dwóch kajaków (my szliśmy obok pieszo) kosztował 5 złotych i Achmed też nie chciał się do tego – dla nas znacznego – wydatku dołożyć. Też zapłaciliśmy za niego. Wreszcie cała komedia miała



*Obozowisko nad Dniestrem podczas jednej z kajakowych wypraw. Na zdjęciu między innymi Marek Szulimowicz i Wala Łobanosówna*

miejsce w pociągu. Achmed znowu nie kupił biletu i znowu my za niego musieliśmy bilet kupić. Ponieważ jako studenci mieliśmy zniżki, a on nie, wydatek był też, jak na nasze względnie ubogie kieszenie, znaczny.

Takie to historyjki zawsze jednak wesołe miały miejsce, a gdy nadto wspomnieć, że trzy razy dziennie w czasie całej podróży i poza nią musiał odmawiać swoje modlitwy na dywaniku, który miał ze sobą, pytając zawsze, gdzie jest wschód, to już można mieć cały obraz tej wyprawy, która trwała chyba z dziesięć dni. Była bardzo udana i pod względem pogody, i pod względem humoru. A to co wspominam, to były tylko wesołe epizody, które



utkwily mi w pamieci. Oczywiscie, nie mieliśmy do Achmeda najmniejszych pretensji, traktując go jako naszego bardzo miłego gościa. Był przemiłym kumplem, a po polsku mówił bardzo śmiesznie, np. na kompot ze śliwkami mówił „klompot z deskami”. Z Halicza pojechał wprost do domu, tzn. do Algieru via Constanza, port w Rumunii nad Morzem Czarnym, gdzie miał wsiąść na statek, aby morzem udać się do Algieru. Halicz był stacją węzłową i wszystkie pociągi stawały w Haliczu – w tym i ekspres Warszawa-Constanza, czyli Orient Express, do którego wsiadł żegnany przez nas Achmed. Jakiś czas potem nadszedł do Halicza, do wujostwa Sulimowiczów list z Algieru od Achmeda, w którym dziękował za gościnę, ale żalił się na nasze władze celne, które na granicy polsko-rumuńskiej skonfiskowały mu 300 zł. Sprawa wyglądała tak: w Polsce obowiązywały ograniczenia dewizowe, polegające na tym, że bez zezwolenia można było przy przekraczaniu granicy wywieźć 200 zł. Na wyższą kwotę należało mieć z banku zezwolenie dewizowe, którego Achmed nie miał. Znalaziono u niego 500 zł, z czego 300 skonfiskowano. Można sobie wyobrazić, co napisał w tym liście po arabsku. Mieczek nam tłumaczył – przekleństw było wiele.

Trzeba tu podnieść, że wielką rolę w propagowaniu sportów wodnych w Haliczu odegrał pan Michał Czepita, artysta malarz z Warszawy, który chyba od roku 1934 co roku kilka miesięcy wiosenno-letnich aż do końca września spędzał w Haliczu. To on na pomoście skonstruowanym z beczek zbudował przystań dla swej wspaniałej motorówki, spowodował, że halicki stolarz zbudował na podstawie jego planów żaglówkę i zatrudnił Andrija, przystaniowego. Na tym pomoście-przystani graliśmy z mistrzem w brydża, a miejsce to było miejscem spotkań już wspomnianej młodzieży karańskiej: Józia, Szymka, Siunka, Mundzia. Stąd robiliśmy



Stanica kajakowa w Haliczu

jednodniowe wyprawy do ujścia Łomnicy (prawy dopływ uchodzący do Dniestru 3 km powyżej Halicza). Wspaniała, świeża góraska woda, nieporównywalna z leniwą wodą Dniestru – kąpiel była fantastyczna.

Muszę też wspomnieć o zbudowanej przez Polski Związek Kajakowy w roku 1936 stacji kajakowej na prawym brzegu Dniestru, na bardzo wysokich palach żelazobetonowych dla ochrony przed ewentualną powodzią. Stanica była drewniana, wspaniale urządzona i wyposażona jak wysokiej klasy hotel. Zasługa to pani Podhorską-Okołów z Warszawy, która po prostu była zakochana w Dniestrze. Zresztą była to jej druga podobna stacja – pierwszą bowiem wybudowała i wyposażała w Nizniowie, gdzie był mały klasztor Sióstr Niepokalanek.

Dla pamięci odnotować trzeba, że w czasie wypraw po Dniestrze mijaliśmy wspaniałe żelazne mosty. I tak na początek most drogowy żelazny w Haliczu, potem most kolejowy w Dębowcach na linii kolejowej Halicz-Stanisławów, następnie most drogowy w Nizniowie, żelazny, nowy, wspaniały most drogowy w Uściczku, wreszcie sławny most



Żelazny most drogowy nad Dniestrzem w Haliczu. Zbudowany w roku 1910, istnieje do tej pory, choć funkcjonuje obecnie wyłącznie jako most pieszy. Ruch kołowy przeniesiono na nowy, betonowy most wybudowany bliżej ujścia Łukwi.

drogowo-kolejowy w Zaleszczykach. Poza mostem w Zaleszczykach już innych mostów nie było, tylko przeprawy promowe, których było dość sporo.

Piszę o tym wszystkim, aby przeczytał ten, kogo to jeszcze interesuje, aby nie uległo kompletnemu zapomnieniu, a dla mnie stanowi to powrót do lat młodości i do bez troskiej radości życia, którą daje tylko młodość.

Stanisław Strycharski  
Bytom, 14 XII 1999